Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena pojedyńczego numeru 30 gr.

PAX

O CHRZEŚCIJAŃSKĄ KULTURĘ JUTRA — DWUTYGODNIK

N 8 R 3



S. KAŁAMAJSKI

BIELIZNA — TRYKOTY —
POŃCZOCHY — RĘKAWICZKI.

TOWARY MODNE.
TOWARY GALANTERYJNE.

KROJE—ŻURNALE.

JEŚLI SIĘ CHCE WYGLĄDAĆ
PRAWDIWIE ELEGANCKO

TRZEBA ŚPIESZYĆ DO NAJWIĘKSZEJ W WILNIE
POLSKIEJ SKŁADNICY GALANTERYJNEJ

FRANCISZKA FRLICZKI

WILNO, ZAMKOWA Nr. 9

DLA PAŃ:

Pyjamy, szlafroki, bluzki jedwabne, ręcznie haftowane, komplety bielizny *** Koronki klockowe, walensjenki, hafty, guziki ozdobne, klipsy do sukien, modne kołnierzyki, torebki, portmonetki, parasolki ***

DLA PANÓW:

Komplety bielizny, koszule dzienne w wielkim wyborze, krawaty, kołnierzyki, ozdobne spinki, skarpety, pończochy sportowe, rękawiczki, laski.

NAJWIĘKSZY WYBÓR GALANTERJI MĘSKIEJ I DAMSKIEJ

PATRZ KOMUNIKAT MODY — W TEKŚCIE.

ROK III — NR 8
15 Kwietnia 1935 r.
WILNO-POZNAŃ



O chrześcijańską kulturę jutra —
DWUTYGODNIK

Dr. MARJA WINOWSKA

SKARB I NACZYNIA GLINIANE

Odpowiedzialność katolika wobec otaczającego go świata przerasta czysto ludzki plan o nieskończony wymiar pozaludzkiej rzeczywistości. Momentem normatywnym nie jest tu przestrzeń i czas, ale ich scalenie doskonałe z tem, co nieskończone i wieczne. To też na stanowisku katolickiem rozwiązań ludzkich spraw wolno szukać tylko w ich **koniecznem dopełnieniu,** na punkcie skrzyżowania rzeczywistości ludzkiej z owym pozaludzkim, „czwartym" wymiarem, zawierającym w sobie jej tajemnicę niewysłowioną i wiekuisty sens.

Dla katolika na **ludzkim** planie wszystko się zaczyna, a nic się nie kończy, **niema właściwie problemów zamkniętych,** każde zjawisko, każdy fakt posiada swój odpowiednik niewspółmierny na **pozaludzkim** planie. Podczas gdy postawa t. zw. humanistyczna ujmuje rzeczywistość jakby sferycznie, w formie zamkniętych zjawisk, warunkujących się wzajemnie w przestrzeni i w czasie— światopogląd katolicki do końca czasów będzie rozpięty na krzyżu niewspółmierności Bożych i ludzkich spraw, spotykających się w punkcie przecięcia skończonego z nieskończonem:

„Et Verbum Caro factum est."

W tym właśnie punkcie skrzyżowania zawiera się— i wypełnia **nasza** odpowiedzialność: **nie za własne dobra, ale za dobra oddane nam we włodarstwo; nie o własnych siłach, ale mocą Bożą utajoną w naszej nędzy niby skarb w naczyniu glinianem.**

Rzecz jasna, że w tem znaczeniu pojęcie odpowiedzialności nie pokrywa się bez reszty z pojęciem odpowiedzialności, będącem dziś w obiegu. Człowiek współczesny, chory na atrofję metafizycznego zmysłu, wyznacza dokładnie pole swego działania — i swojej odpowiedzialności — według miary **materjalnej** ingerencji w otaczający go świat. Nic dziwnego, że na inne ujęcie go nie stać. Pragmatyzm, przyczajony nieraz bardzo subtelnie we wszystkich dziedzinach współczesnej myśli, opiera się na zasadzie—często podświadomej — nieskończonych jakby możliwości twórczych człowieka w tem, co jest najistotniejszą materją jego życia. Praktycznie odmierza się rzeczywistość zasięgiem ludzkiego poznania i ludzkiego czynu.

W tem „pragmatycznem" znaczeniu **odpowiedzialność człowieka jest funkcją jego samowystarczalności.**

I tu jest węzłowy punkt tragizmu współczesnej epoki. To wielkie „mysterium iniquitatis", które nazywamy wytartem słowem „kryzys", jest gruntownem stwierdzeniem ludzkich granic i w tem jest jego wielki **pozytywny** sens. Naprożno człowiek próbuje narzucić rzeczywistości samowolne prawa; zadawany gwałt mści się na nim samym, zbuntowana rzeczywistość wymyka mu się z rąk, przepływa ponad nim groźną falą. Pycha papierowych rozwiązań załamuje się tragicznie wobec... życia.

Czy z naszą wolą czy wbrew nam historja — ten sąd Boży nad czasem—jest zawsze wyznaniem wiary. W naszej zaś mocy jest albo poddanie się głębokiemu jej nurtowi i— będąc w nim — przezwyciężanie go, albo stawanie ponad nim z samozwańczą władzą, której praw narzuconych a priori rzeczywistość **nie przyjmuje.**

Możemy więc stwierdzić gruntowną rozbieżność między katolicką i niekatolicką postawą wobec rzeczywistości: w pierwszym wypadku człowiek jest włodarzem nie swoich dóbr, któremi włodarzuje nie własną tylko mocą („co masz, czegobyś nie otrzymał?")—w drugim wypadku człowiek jest tragicznym władcą świata, który stara się ujarzmić potęgą własnej energji i woli (Sny o potędze).

Bez tej psychologicznej dystynkcji nie zrozumiemy stanowiska katolicyzmu we współczesnym świecie. Mamy tu dwie postawy tak djametralnie różne, że ludzkim sposobem żaden most od jednej do drugiej przerzucić się nie da. Takiej decentralizacji może dokonać tylko Łaska.

Tak wygląda teorja. Ale jak jest w praktyce? Czy linja demarkacyjna pomiędzy katolicyzmem a laicyzmem da się równie idealnie przeprowadzić między katolikami a laikami?

Niestety, nie... Stosunkowo bardzo niewielu katolików żyje w pełni Prawdą. U większości stwierdzić można charakterystyczne rozszczepienie: z jednej strony katolicyzm nawet sumiennie praktykowany, ale będący tylko nadbudową (nieraz sztuczną). Z drugiej strony całe połacie duszy „nieochrzczone", pogański fundament. Ta dwudzielność psychiczna tłumaczy dziwną chwiejność, nieszczerość, niekonsekwencję wielu katolickich poczynań. Cóż pomoże najintensywniejsze działanie „na zewnątrz", gdy „źródła w nas jeszcze nieoczyszczone".

Ale trzeba też stwierdzić, że u wielu oficjalnych laików istnieje **katolicka** postawa wobec rzeczywistości: uznanie własnych granic **i pokora wobec przedmiotu,** którego tajemnicę poznać można tylko przez **poddanie się jego prawom.** Ten choć niezamierzony katolicki stosunek do świata dostrzec można w różnych dziedzinach współczesnej myśli. Wiele książek „niekatolickich" wyrosło z głęboko ukrytych, katolickich korzeni. Mamy wokół siebie wielu nieznanych braci, ochrzczonych chrztem pragnienia, usprawiedliwionych szukaniem niezakłamanem, głodem niezaspokojonym przez żadne „erzace". Głód Prawdy bowiem jest wielkim talizmanem Łaski.

I tu nasuwa się ogromne pytanie: czy nasza połowiczność, nasze tchórzostwo, nasz kompromis nie jest cieniem i hamulcem dla Bożej Prawdy w duszach? Czy nie wiążemy Bogu rąk własnem skąpstwem, czy nie chowamy światła (nie z nas!) pod korcem, czy zamknięci w sobie, jak w klatce, nie uprawiamy duchowego pasożytnictwa? My — którzy wiemy, my—którzy posiadamy Prawdę w jej bogactwie niewysłowionem, my którzy korzystamy z Bożych pól i z winnic Pańskich, cóżeśmy uczynili z dóbr, oddanych nam we włodarstwo?

Twardy to porachunek, ale trzeba aż tak sięgnąć wgłąb. Rozpiętość naszego obowiązku odmierza naszą winę—zakres naszych możności piętnuje jałowość wypełnienia.

Wielkość odpowiedzialności naszej jest właśnie w tem, że nosimy skarb w naczyniach glinianych i że Boża wszechmoc nam się daje w tej samej mierze, w jakiej uzna-

my naszą własną niemoc. Tajemnica naszej skuteczności leży na przecięciu tych dwu prawd: „Bezemnie nic czynić nie możecie" i „**wszystko** mogę w Tym, który mię umacnia".

Największa nasza wina nie w tem, że nie podejmujemy naszej odpowiedzialności, ale w tem, **że podejmujemy ją sami** (nieraz jakże bezwiednie!) tak, jakgdybyśmy o własnych siłach cokolwiek zrobić mogli!

Nieporozumienie wyrasta z dwu źródeł: 1⁰ z braku całkowitości w naszej postawie doktrynalnej, oddzielającej ostro teorję od praktyki. Fakt ten nie wymaga komentarzy. 2⁰ **Z zapoznania prymatu ducha i czystych duchowych środków.**

* * *

Słowa w obiegu bardziej niż inne wymagają rewizji. Przychodzi chwila, w której wyraz jakby pęka pod naporem różnorodnej treści, wtłaczanej ad libitum, według potrzeby klimatu i dnia. Operując słowem „odpowiedzialność", bierzemy je najczęściej — podświadomie — w owem laickiem, autonomicznem i materjalnem znaczeniu. Zapominamy, że plan naszej najgłębszej odpowiedzialności przerasta wszelkie ludzkie kryterja i jest tajemnicą między Bogiem i nami. Jesteśmy **najpierw** odpowiedzialni wobec własnej duszy, a **potem** dopiero wobec społeczeństwa, kultury, sztuki i t.p. Realizując w pełni nasze indywidualne powołanie, wypełniamy tem samem najdoskonalej naszą funkcję społeczną. Ale porządku tego nie wolno odwracać, tak, jak nie wolno odwracać największego przykazania: Będziesz miłował Pana Boga twego, a **potem i dlatego** również bliźniego twego.

Ten bezwzględny prymat ducha jest dla katolika godłem — oznaką przynależności do Bożego Mistrza, którego „królestwo nie jest z tego świata".

Ale „nie jest sługa większy nad Pana swego": i dla katolika jego święte godło musi być krzyżową próbą.

Człowiek niewierzący nie może zrozumieć tak dziwnych targów. Wszak widzi tylko, co się traci, nie zaś to, co się zyskuje. W punkcie tym **musi** być jakieś dogłębne nieporozumienie między katolikiem i niekatolikiem—i tego nieporozumienia nie wolno nam przesypywać faszyną pomylonych cnót: „postępową" ugodowością, fałszywą pokorą i t.p. (iluż katolików, przyznając się do swego tytułu, zdaje się mówić: „przepraszam ale... jestem katolikiem). Katolicyzm **jest** wielkiem zgorszeniem: **wyrasta z Krzyża.**

Człowiek, uznający bezwzględny prymat ducha, musi popaść w taki czy inny konflikt z materjalną rozbudową ludzkiego dorobku — z materjalną stroną kultury. Życie modlitwy nie zawsze może iść w parze z pracą artystyczną, czy naukową — może przyjść dzień Bożych rozrachunków, w których wszystko trzeba oddać za wszystko, na przekór „zdrowemu rozsądkowi", w których ludzkie dobra, choćby najwznioślejsze, zdają się być „jako słoma" w przyrównaniu do tamtych, przeczuwanych w mroku wiary, już posiadanych przez miłość. Ale — rzecz dziwna — całkowite wyrzeczenie i ubóstwo staje się zarazem najgłębszem tworzywem kultury. Może myśl św. Tomasza nie zaciężyłaby z taką mocą na twórczości wieków, gdyby w swoim punkcie najszczytniejszym nie została rozpięta na bierwionach krzyża: któż zgłębi radość przebolesną owych słów, iż praca długich, twardych lat w porównaniu z Prawdą Najprostszą „zda się niby słoma..." Najuboższy z ludzi, św. Franciszek z Asyżu, żywy wizerunek Chrystusa Ukrzyżowanego, podważył Europę słabemi rękoma i pchnął średniowieczną kulturę na nowe tory. Po dziś dzień święci w sposób niedostrzegalny i nie dający się odmierzyć—wszak środki, któremi się posługują, są takie biedne i przezroczyste — decydują o losach świata i żywą krwią—niby cementem — zwierają podwaliny jutrzejszej kultury. A jednak dziś jak i dawniej życie ich zda się szaleństwem i zgorszeniem nietylko dla ludzi „zzewnątrz", ale także dla oficjalnych i praktykujących „porządnych" katolików, których wiara jest tylko sprawą tradycji i asekuracją na śmierć.

Nie znaczy to, że katolik powinien zrezygnować z ludzkiego planu: „gratia non tollit naturam, sed perficit". Jego odpowiedzialność kulturalna jest tem większa, że ponad tym ludzkim, bogatym w rzeczywiste wartości planem, widzi drugi plan, wzbogacający pierwszy o nieskończoność. Ale uznając wszystkie ludzkie wartości, katolik musi pamiętać, że źródłem, z którego wyrasta wszelka kultura, jest duch i że duch ma swoje prawa i swoje odrębne życie; że przyrost ducha odbywa się najczęściej kosztem materji—że zdobycze kultury czysto duchowej nieraz trzeba opłacać wartościami kultury materjalnej.

* * *

To też dla katolika słowo: odpowiedzialność musi mieć zgoła inny sens, niż dla człowieka niewierzącego: wszak istotny plan jego odpowiedzialności jest niematerjalny. Wprawdzie na świat z tego wyższego planu czyn spływa tworzywem materjalnem, ale taki czyn jest czemś więcej niż zwykłem działaniem, jest jakimś nadmiarem, przelewającym się z brzegów, jakąś „superabundantia contemplationis". Odpowiedzialność katolika zaczyna się tam, gdzie nie można przyłożyć żadnych miar, sprawdzić żadnych liczb, gdzie niema żadnej ludzkiej kontroli. Ale odpowiedzialność ta jest tem większa, im bardziej niematerjalna—sprawy ducha nie znają granic – wielkość otrzymanego talentu staje się jej wyznacznikiem — ostateczną, najwyższą kontrolą Gospodarz-Bóg.

Patrząc krótkowzrocznie, widzimy tylko formę kutury—jej wyraz zewnętrzny—bogatą koronę drzewa z przepychem kwiatów. Ale pod tem bogactwem widzialnem muszą być czarne, twarde korzenie, głęboko ukryte w ziemi—musi być praca ukryta i nieznana żywych soków. Najgłębszem tworzywem kultury jest duch i jego wyraz najpełniejszy: świętość. Choć brzmi to jak paradoks, nie uczeni, ani artyści, ani wynalazcy, ani dyktatorzy mają decydujący wpływ na rozwój kultury, ale ci, którzy wszystko postradawszy, odnaleźli wszystko: duszę własną i cały świat. Czy chcemy, czy nie chcemy, budujemy na nich, jak na żywym fundamencie.

I nie wiadomo, ileby się ostało z naszej pracy widocznej i pełnej uznania, gdyby nie wyrastała z tych pogardzonych, zapoznanych korzeni krzyża?

Stosunek katolika do kultury jest znacznie istotniejszy i głębszy niżby to „zzewnątrz" na t. zw. „laickim" planie wydawać się mogło. Funkcja bowiem kulturalna katolicyzmu jest przedewszystkiem duchowa i realizuje się w pełni na pozaludzkim planie. Stąd dla katolika zdrada wobec katolicyzmu **jest zarazem w najgłębszem tego słowa znaczeniu zdradą wobec kultury**. I naodwrót: doskonałe wypełnienie roli, jaką każdemu z nas wypadło odegrać w „Theatrum mundi", a w której nie zastąpi nas nikt, odnalezienie własnego imienia, owego „nomen novum", o którem mówi Apokalipsa, a w którem zawiera się nasze niepowtarzalne powołanie, krótko mówiąc: wypełnienie postulatów katolicyzmu jest zarazem z konieczności **wypełnieniem naszej funkcji kulturalnej w świecie.**

Genjalny żebrak, Leon Bloy, z powołania głodomór Boży, określił sprawę naszej odpowiedzialności krótkiem zdaniem: „istnieje tylko jeden smutek: że się nie jest świętym".

W. POWEL

Z MUZYCZNEGO

Ośrodkiem zainteresowania muzycznego Poznania jest oczywiście Opera i koncerty symfoniczne. Największą atrakcją były naturalnie nie koncerty z zaproszonymi gośćmi—kapelmistrzami, jak M. v. der Pals'em, J. Ozimińskim, ale koncerty dyrygowane przez naszego młodego dyrektora opery, pracowitego i sumiennego p. Zygmunta Latoszewskiego. Pracowitego,—bo zdał doktorat muzykologji u prof. L. Kamieńskiego; sumiennego,—bo rzadko komu pozwoli wyręczać się w pracy kapelmistrzowskiej — zwłaszcza w koncertach symfonicznych. Nawet bystry obserwator mógłby zauważyć lekkie podniecenie u publiczności, jeżeli minie miesiąc, a nazwisko dr. Latoszewskiego nie rozbłyśnie na żółtych afiszach nęcącym blaskiem (15 centymetrowe czcionki). Jednem słowem—jak dawniej Fontanka, tak teraz Zygmuś został ulubieńcem miasta. Świadczy to pochlebnie o mieszkańcach i mieszkankach, że nie żaden filmowiec, ale osobistość poważna, muzyk, dyrektor i doktór – zdobył takim impetem wdzięczne serca ziomków. To też całkiem naturalne wydało się każdemu, że kandydatura prof. Wojciechowskiego i prof. F. Nowowiejskiego odpadła wmig i podania ich skryły się ze wstydu na samo dno magistrackiego... biurka.

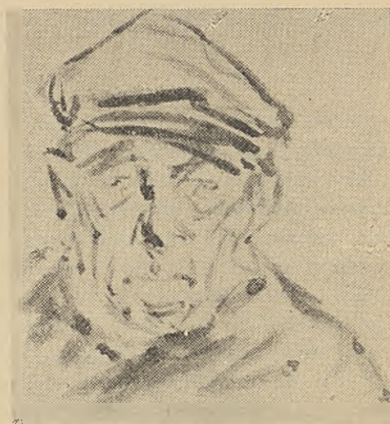
A możeby tak zacząć już mówić nieco poważniej? Cóż, kiedy „ja plotki tak lubię ogromnie". One dopiero pozwalają czytelnikom

JERZY CIECHOCKI

WŁASNORĘCZNE RYSUNKI CONRADA



DONA GITA (Złota strzała)



OLD PEYROL (Korsarz)

Pasja podglądania jest pasją typową dla człowieka. W literaturze jest tej pasji niemniej niż w innych dziedzinach życia: czyż połowa historji literatury nie jest podglądaniem autorów? Obcując z wielkiemi dziełami, jakże często pragniemy spojrzeć na nie oczyma autora: wszak spojrzenie takie w przeważającej ilości wypadków byłoby właśnie najpełniejsze, w pewnym sensie najbardziej „autentyczne". Czytamy nieraz opis człowieka, a ilekroćby się chciało zajrzeć mu prosto w twarz! Chociażby tej pięknej postaci starego korsarza conradowskiego, którego charakter „uformował się pod słońcem Oceanu Indyjskiego, pod panowaniem bezprawia, wśród ciągłych walk z sobie podobnymi nietyle o marny, topniejący w ręku łup, co w obronie życia, zagrożonego zawsze, zarówno w dnie pomyślne, jak i w dnie klęski". Kim był? Wiemy, że ojca nie miał.

„Myśląc o rodzicach, myślał o wysokiej kobiecie w łachmanach, wynędzniałej i smagłej". Na morzu przylgnęło doń nazwisko Peyrol. Z tem nazwiskiem przeżył bez mała pół wieku. wypełnionego przygodami, które „dla każdego przeciętnego śmiertelnika wydawałyby się cudowne, on jeden tylko uważał je za najnaturalniejsze w świecie". Stykamy się z nim, gdy staje w porcie Tulonu jako pięćdziesięciopięcioletni mężczyzna. Wiemy, że nosił „białą koszulę, kurtę granatową z metalowemi guzikami, wysoki krawat marynarski i białe spodnie", które umocowywał „zamiast paskiem, czerwoną, biało nakrapianą chustką". Wiemy, że głowę nakrywał „niskim i lśniącym, czarnym kapeluszem" i „wyglądał jak przystało na całkiem solidnego kapitana prym". Ale twarz? — ta twarz umyka przed nami, choć widzimy ją tak dobrze i choć poznalibyśmy, zdałoby się, starego Peyrola na ulicy.

Conrad nigdy nie pozwolił ilustrować swych dzieł. Sam jednak czasem portretował kilku sztrychami pióra lub ołówka osoby, które zajmowały jego umysł. Jak pisze jego żona, Jessie Conrad: „Przyszłam do niego pewnego dnia, gdy kończył już swą pracę nad „Korsarzem"... on się gwałtownie obejrzał i rzucił mi starą kopertę, w której rogu znajdował się mały szkic atramentowy, jeszcze nie wyschnięty. Tylko twarz, twarz starego „shellback", jak on go chętnie nazywał. Wzięłam szkic do ręki i szybko powiedziałam: stary Peyrol. Mój mąż był rozpromieniony: — Tak, Jess, lecz mam nadzieję, że oni nie zechcą ilustracyj. Wyobrażam sobie, coby z niego zrobili? Jakiegoś niewyćwiczonego majtka o gładkiej twarzy, przypuszczam".



NINA ALMAYER

Kiedy indziej zagadnął Conrad żonę o „Złotą strzałę": — Gdybyś ustalała ilustracje do tej książki, jakibyś wybrała moment. — Moja natychmiastowa odpowiedź nie zadowoliła go, co okazał w sposób najbardziej dlań charakterystyczny — przez zgaszenie cygaretki, którą był zapalił dopiero przed chwilą. Propozycja moja dotyczyła pierwszego spotkania między Henry Allegre i Doną Ritą.

Usiadłam milcząca, on zaś przemierzał niespokojnie pokój; nagle skierował się ku mnie i rzekł łagodnie: — Dziwię się, moja droga, jak mogłaś uczynić tak konwencjonalny wybór, jak mogłaś go wogóle zapragnąć! Pokażę ci...— opuścił pokój i wrócił z pojedyńczą kartką papieru w ręku. — Oto jest mój wybór — rzekł — jedyna ilustracja, na którą mógłbym się w tej książce zgodzić".

Trzeci z zamieszczonych rysunków Conrada, który za THE SATURDAY REWIEW OF LITERATURE reprodukujemy, przedstawia Ninę Almayer. Oto jej opis w „Szaleństwie Almayera": „Wzrostu wysokiego, jak na dziewczynę krwi mieszanej, miała poprawny profil ojca, nieco jednak zmieniony przez wyraz siły, którą zdradzał kwadratowy zarys podbródka, odziedziczonego po przodkach matki, korsarzach z plemienia Sulu. Stanowczy łuk ust i błysk białych zębów między rozchylonemi wargami nadawały pewien odcień dzikości niecierpliwemu wyrazowi jej twarzy. A jednak prześliczne ciemne jej oczy jaśniały tkliwą słodyczą właściwą kobietom malajskim, lecz ożywioną promieniem wyższej inteligencji. Oczy te spoglądały poważnie, szeroko rozwarte i nieruchome, jakby zapatrzone w coś niewidzialnego dla wszystkich innych oczu, gdy stała tak... prosta i gibka, nieświadoma swojego czaru. Nad niskiem, szerokiem jej czołem lśnił przepych czarnych włosów, które w ciężkich splotach spływały na barki, potęgując jeszcze oliwkową bladość cery w czarnem jak węgiel obramowaniu".

POZNANIA

odetchnąć tą właściwą, rdzennie polską, atmosferą intryg i intryżek, kop—kop—kopania dołków i t. d. Ale—broń Boże - nie chcę niczego mówić à propos. Bo cóż w tem złego, że naprzykład „Rodzina Wojskowa" na trzy dni przed rozstrzygnięciem Konkursu śpiewaczego radja wiedziała już, która kapitanowa otrzyma palmę zwycięstwa? Bo cóż z tego, że — poza Kassernem i Poradowskim — żadne pismo w Poznaniu nie posiada muzyka, śmiejącego mówić śmiejąco prawdę?

Rolę tę wzięło więc na siebie i poznańskie „Życie Muzyczne i Teatralne". Tam—każdy znajdzie wiadomości o Poznaniu muzycznym

Nie myślę na tem miejscu robić reklamy temu kochanemu pismu, choć byłoby to może maleńką rekompensatą za ciężką walkę, jaką prowadzi z wszystkiemi partjami i partyjkami stoł. m. Poznania. Samo zresztą nie wie, do której należy. W ostatnim (7-ym) numerze znajdują się artykuły Szymanowskiego, Barbaga, Brzostowskiego, Wiechowiczowej, Józefa Hofmana, J. Nowaka i innych.

Pozatem dział, omawiający współczesną twórczość muzyczną Polski, oraz podlana sosem tatarskim kronika miejscowa. Uwaga — wysokie napięcie!

Co tu gadać—jak jest, tak jest— w każdym razie niema zastoju, niema kryzysu. (A jednak prześlizgnęło się to okropne słowo!).

ZOFJA ZAWISZANKA

ŚWIĘTOŚĆ

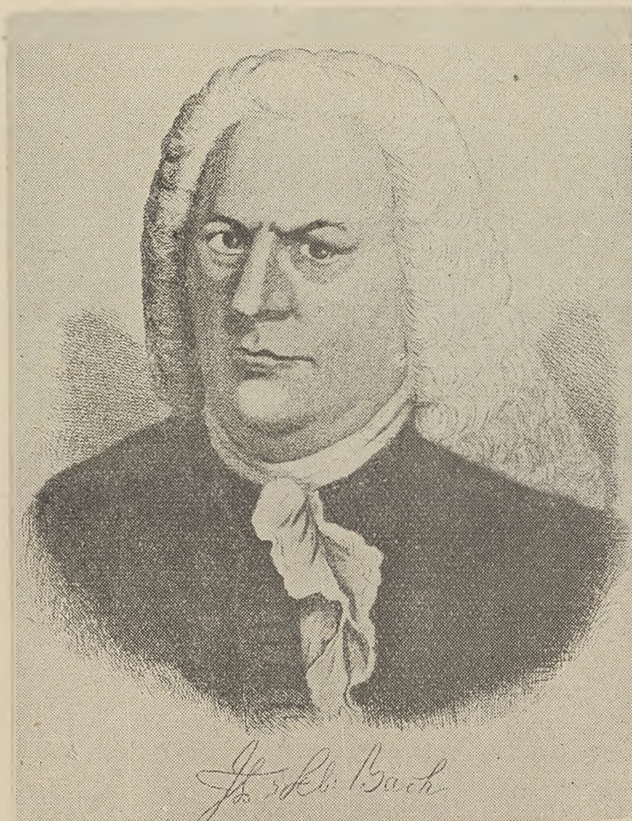
Sięgnąć śmiele po Boga — uchwycić z Niego choć tyle,
By się dało w ręku utrzymać... i nie puścić ani na chwilę!

Owinąć się w ten strzęp światła i siać go promieńmi hojnemi:
Oto jest ŚWIĘTOŚĆ — najwyższe szczęście tej ziemi.

MICHAŁ JÓZEFOWICZ

JAN SEBASTJAN BACH

Cały świat muzyczny obchodzi w tym roku rocznicę jubileuszową urodzin Jana Sebastjana Bacha, postaci najpotężniejszej w dziejach muzyki wszystkich czasów, wznoszącej się ponad wszelkie zestawienia z innymi mistrzami, wyrazicielami dążeń i wiedzy muzycznej swojej epoki: Haydn, Mozart, Beethoven, Wagner, Chopin i inni. Ponad wszystkimi góruje J. S. Bach bezprzykładnem połączeniem w swej twórczości, jakby odrodzonego i doprowadzonego do najwyższej doskonałości, przejętego od poprzedników, stylu wzorzystej wielogłosowości z mistrzowsko owładniętemi formami muzyki homofonicznej na podstawach nowoczesnej harmonji. Jak olbrzymi słup graniczny stoi Bach na punkcie stycznym dwóch różnych okresów w rozwoju muzyki, należąc jednocześnie do obu. Genjusz Bacha zjednoczył właściwości w swych dziełach obu stylów z mistrzostwem, które pozostanie jako wzór niedościgły dla przyszłych pokoleń. O zestarzeniu się arcydzieł jego nawet mowy być nie może.



Bieg życia J. S. Bacha nie obfitował w doniosłe wypadki i upływał w skromnych warunkach. Urodził się Bach w Eisenach, w Turyngji, jako syn muzyka orkiestrowego i członek rodziny, w której wszyscy — w ciągu wielu pokoleń — uprawiali muzykę zawodowo; przeważnie byli organistami i kantorami w różnych miastach Turyngji i Saksonji. Po wczesnym zgonie obojga rodziców, kształcił się w muzyce pod kierunkiem starszego brata, który musiał swego ucznia—ze względu na jego zdrowie—powstrzymywać w niezwykłej pilności, z jaką Jan Sebastjan studjował dzieła swych znakomitych poprzedników. Nieraz, kiedy wszyscy w domu już spali, wstawał on z łóżka i siedząc blisko okna, przy świetle księżycowem, cicho ślęczył nad interesującemi go nutami. Niewątpliwie, takie nadużywanie wzroku przyczyniło się w dużej mierze do rozwinięcia się ślepoty, na którą cierpiał Bach w ostatnich latach życia. W piętnastym roku życia otrzymał już posadę organisty kościelnego w Lueneburgu, skąd nieraz robił piesze wycieczki do Lubeki i Hamburga w celu usłyszenia znakomitych organistów. Wywoływało to zatargi z jego przełożonymi, gdy przedłużał nadmiernie swoją nieobecność; nie usuwano go jednak z posady, chciano bowiem mieć u siebie genjalnego młodzieńca. Następnie po kilku posadach kolejnych w charakterze kapelmistrza i organisty w różnych mniejszych miastach J. S. Bach objął — po zgonie słynnego Jana Kuhnaua — zaszczytne stanowisko kantora w kościele św. Tomasza i kapelmistrza w Uniwersytecie w Lipsku. Stanowisko to zawsze zajmuje — tradycyjnie — jeden z najwybitniejszych muzyków Niemiec. Szczególnego blasku nabrało ono właśnie od czasów Bacha, który je sprawował w ciągu lat dwudziestu siedmiu, t. j. do samej śmierci.

Bach należy do tych rodów muzycznych, w których talent przechodzi dziedzicznie z pokolenia na pokolenie i osiąga najwyższą potęgę w jednej, genjalnej indywidualności. Oddany muzyce kościelnej, głównie też ją uprawiał: kantaty, motety, msze, pasje — oto płody jego twórczości w Lipsku. Rzadkie wyjazdy do Drezna i do Poczdamu, na dwór króla pruskiego, Fryderyka II, stanowiły krótkie urozmaicenie jego pracowitego, cichego, drobno-mieszczańskiego bytowania w Lipsku. Zdala od prądów, wnoszących lekki, efektowny styl wirtuozowski, przenikających ówczesną muzykę, zamknięty w sobie, tworzył coraz to nowe dzieła, obce dla współczesnego mu pokolenia, kryjące w sobie bogactwa, których piękno odsłonić się miało dopiero pokoleniom późniejszym

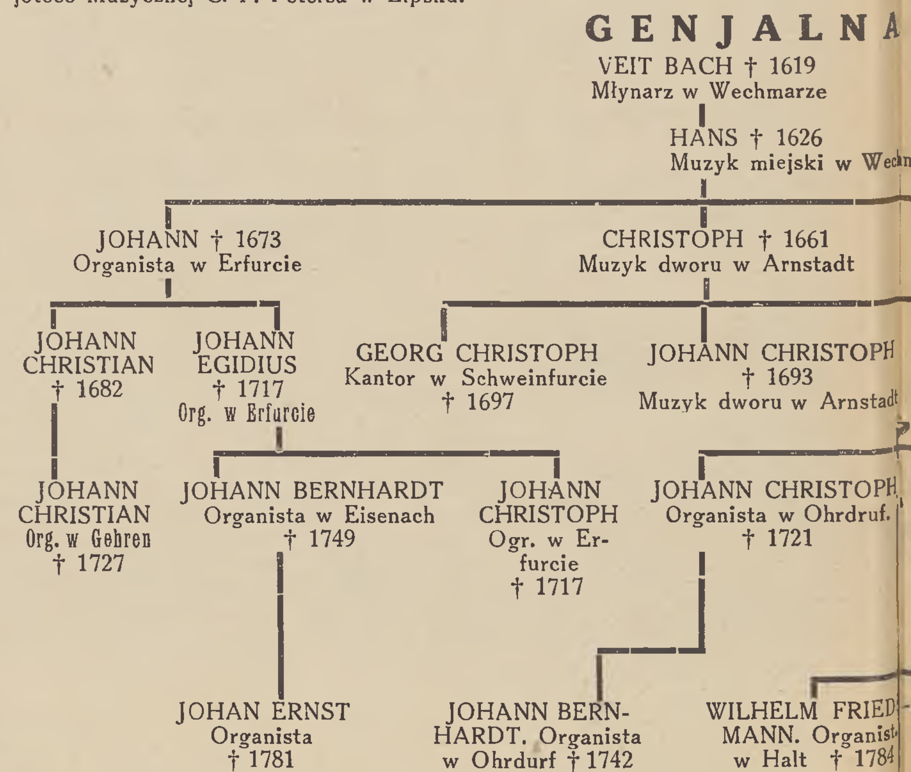
Za życia nie był doceniany i sławę większą mieli inni, mniej od niego utalentowani. Potem, w ciągu lat kilkudziesięciu, został zupełnie zapomniany, poza niedużem gronem wielbicieli, do których należał Beethoven. Dzisiejszy wspaniały rozkwit wiekopomnej sławy bachowskiej rozpoczyna się od chwili, kiedy Feliks Mendelssohn - Bartholdi własnym kosztem i pod osobistym kierunkiem zapomnianą „pasję św. Mateusza“ wskrzesił do nowego życia w 1829 r. Prąd ten zatacza coraz szersze kręgi i staje się hasłem, pod którem się toczy dalszy rozwój międzynarodowej kultury muzycznej.

Ścisły związek twórczości Bacha z muzyką religijną znalazł idealny wyraz w „pasji św. Mateusza“; jest to arcydzieło muzyki religijnej, jedno z najgłębszych objawień twórczych. Jakkolwiek obfita twórczość Bacha jest najdoskonalszym wyrazem muzyki protestanckiej, nie brak w niej i kompozycyj, przeznaczonych dla liturgji katolickiej, a napisanych dla katolickiego dworu elektora saskiego w Dreźnie. W literaturze muzyki kościelnej całkiem wyjątkowe stanowisko zajmuje monumentalne dzieło Bacha: wielka msza h-moll, skomponowana dla króla Augusta III, który nadał mu tytuł polskiego, królewskiego kompozytora nadwornego.

Wokalnej muzyce kościelnej Bacha pokrewna duchem jest muzyka organowa, nadająca cechę charakterystyczną jego twórczości. Pośród licznych dzieł na fortepjan epokowem dziełem jest „Das Wohltemperierte Klavier“, zbiór preludjów i fug we wszystkich tonacjach. Przez całe życie grywał to Chopin, który poza tem grał prawie wyłącznie własne utwory. Dużą ilość utworów instrumentalnych Bacha szczególnie ozdabiają koncerty na orkiestrę, zwane brandenburskiemi, koncerty fortepjanowe, skrzypcowe i na inne instrumenty. Unikatem w całej literaturze muzycznej jest zbiór sześciu mistrzowskich sonat na same skrzypce, bez akompanjamentu; wykonanie ich jest kamieniem probierczym techniki i muzykalności wykwalifikowanych skrzypków.

Niepodobna, nawet pobieżnie, omówić twórczości Bacha, zawierającej w wydaniu zbiorowem osiemdziesiąt dużych tomów nut. Bach zamknął wielką epokę w rozwoju muzyki, dając zarazem podwaliny nowej kultury muzycznej.

Dołączony do artykułu portret Bacha jest reprodukcją portretu autentycznego, do którego osobiście pozował; znajduje się on w Bibljotece Muzycznej C. F. Petersa w Lipsku.



SZEŚĆ POKOLEŃ MUZYCZNYCH W RODZINIE BACH
Powyższa tablica genealogiczna uwzględnia tylko wybitniejszych muzyk

STANISŁAW SZPINALSKI

LIST Z AMERYKI

Na prośbę redakcji pisma PAX śpieszę podzielić się z jego czytelnikami swemi wrażeniami z Ameryki.

Należy stwierdzić przedewszystkiem, że dla społeczeństwa amerykańskiego muzyka jest artykułem pierwszej potrzeby. Lubią tu muzykę i **chcą** jej słuchać. Gdzie niegdzie w Europie pokutuje jeszcze mniemanie, że Stany Zjednoczone są „młodym" krajem, jeśli chodzi o muzykę...

Tak jednak nie jest. Już w roku 1840-ym jeden z wybitnych aktorów angielskich skarżył się, że „szaleństwo koncertowe" ogarnęło Stany od New-Orleans aż do New York City. Przyczem stwierdzić należy, że „szaleństwo koncertowe" wyrażało się w ogromnem faworyzowaniu muzyki symfonicznej i kameralnej z uszczerbkiem dla opery i teatru dramatycznego! Sto lat ruchu muzycznego w warunkach przysłowiowego „tempa amerykańskiego" — to jest bardzo wiele.

Predylekcja publiczności amerykańskiej dla muzyki instrumentalnej par excellence przetrwała do naszych czasów — oto ilustracja powyższego twierdzenia: Metropolitan Opera House w Nowym Jorku zamyka swe podwoje z braku funduszów i niedostatecznego poparcia ze strony publiczności, podczas gdy Filharmonja Nowojorska dzięki subskrypcji publicznej utrzymuje się wciąż przy życiu. Oczywiście przyznać należy, że osoba Artura Toscanini, który prowadzi Filharmonję Nowojorską jest potężnym magnesem dla publiczności.

Ruch muzyczny jest tu właściwie kierowany przez dwa potężne koncerny radjowe, które trzymają wszystko w ręku: National Broadcosting Compons i Columbia Radio Corporation. Wszyscy więksi impresarjowie pracują w porozumieniu z temi kolosami—reszta to maruderzy, którzy nie mają właściwie żadnego wpływu.

Na prowincji istnieją przeważnie towarzystwa abonamentowe, które dla swych członków urządzają perjodyczne koncerty. W Detroit np. istnieje Towarzystwo, które urządza dwadzieścia koncertów w sezonie w środę o **jedenastej rano!** Do tego towarzystwa należy około 1400 osób, przyczem w kontraktach artystów bardzo często umieszczona jest uwaga, że artysta obowiązany jest wziąć udział w uroczystem śniadaniu, urządzanem przez prezydjum Towarzystwa! To jest już oczywiście moment czysto snobistyczny.

Skutki kryzysu ekonomicznego są dość ciekawe. Wielkie orkiestry symfoniczne, które dawniej rzadko grały regularnie w radjo, teraz spowodu wycofania się wielu patronów, którzy zbankrutowali, grają w radjo regularnie, reklamując rozmaite wyroby fabryczne. Nie trzeba zapominać, że radjo w Ameryce jest bezpłatne, a godziny transmisyj są kupowane tu przez firmy przemysłowe, dzienniki, lub osoby prywatne.

Dlatego też nie należy się dziwić, gdy po wspaniałem wykonaniu przez orkiestrę filadelfijską pod dyrekcją Z. Stoborskiego muzyki do „Dafnis i Chloe" Ravela słyszy się, że koncert urządzony jest staraniem fabryki papierosów „Luckey Stribe", albo że piątą symfonję Beethovena, wykonaną przez orkiestrę z Bostonu pod dyrekcją A. Kusewitzkiego, zawdzięczamy mydłu „Palmolive". Spotkałem kilku Europejczyków, którzy zżymali się na to, ich zdaniem, „gorszące połączenie mydła Palmolive i „piątej" Beethovena". Uważam, że wszelkie drogi są dobre, jeśli chodzi o zdobycie możności wykonania arcydzieł muzycznych. Amerykanie właśnie dowiedli, że mają cywilną odwagę połączyć „Luckey Stribe" z „Dafnis i Chloe"! Wyrobienie publiczności amerykańskiej jest tak wielkie, iż dziś można już powiedzieć, że artysta dla zdobycia Ameryki nie koniecznie potrzebuje marki europejskiej. Przykłady Lili Pons, znakomitej śpiewaczki francuskiej, Miny Lewitzkiego, wreszcie najnowszej sensacji artystycznej, t. j. ukazania się na estradach amerykańskich słynnego pjanisty Jose Sturbi w nowej roli dyrygenta orkiestry nowojorskiej są zupełnie wystarczające. Dorzucić jeszcze można nazwisko Lawrence'a Fibbeta, amerykańskiego Szalapina, który był śpiewakiem jazzowym w nocnych klubach nowojorskich.

To wszystko, co powiedziałem wyżej, jest powierzchnią życia muzycznego w Ameryce. W głębi zaś nurtują prądy, które wskazują na to, że głębokie przemiany są spodziewane i poszukiwane. Przedewszystkiem interesuje Amerykę zagadnienie wpływu **na muzykę jej mechanicznego wykonywania.**

Słynny kapelmistrz Leopold Stokowski w wywiadzie, niedawno ogłoszonym, twierdzi, że radjo i gramofon, które, jak zdawałoby się na pierwszy rzut oka, przyczyniają się do rozpowszechnienia kultury muzycznej — właściwie jej szkodzą. Stokowski twierdzi, że muzyka mechaniczna jest martwa, tak jak woda sterylizowana jest pozbawiona składników odżywczych. Mówi on, że ucho przyzwyczajone do muzyki mechanicznej zatraca możność rozróżniania bardziej wyrafinowanych odcieni muzycznej „qualite" — zupełnie tak jak oko, wychowane na fotograficznych reprodukcjach arcydzieł malarstwa, przestaje odróżniać oryginały i kopje i wogóle przestaje widzieć to nieuchwytne „coś", co stanowi o istocie i wartości każdego dzieła sztuki. Znany kompozytor rosyjski, Greczaninow, też udzielił wywiadu jednemu z pism nowojorskich, w którym znów poruszył tę samą sprawę. Wskazał on mianowicie na zgubny dla muzycznej kultury zanik amatorskich kółek muzycznych.

Nie ulega żadnej wątpliwości, mówi Greczaninow, że niezwykły rozkwit muzyki niemieckiej od Bacha do Wagnera oparty był o głęboką i rozpowszechnioną kulturę muzyczną. Prawie każda jako tako wykształcona rodzina niemiecka w wieku XVIII-ym i XIX-ym brała udział w życiu muzycznem kraju. Rozpowszechniona zwłaszcza była muzyka zespołowa, bardziej pożyteczna dla rozwoju smaku muzycznego, niż amatorska gra solowa na skrzypcach, czy fortepjanie. Amatorstwo muzyczne, ten szlachetnie pojęty dyletantyzm, zanika — mówi Greczaninow. Transkrypcyj fortepjanowych na cztery ręce współczesnej muzyki symfonicznej poprostu się dziś nie drukuje, bo nikt ich nie kupi. Wogóle zaś nuty kupują teraz tylko zawodowcy. Publiczność wcale na nie nie wydaje pieniędzy. Poco, kiedy wszystko można usłyszeć przez radjo, lub w gramofonie? Straciwszy takiego klijenta, jakim była szeroka publiczność, wydawca przestał kupować u autora również... To też dziś nawet wybitni kompozytorowie walczą z wielkiemi trudnościami materjalnemi. Jeśli to będzie trwać dłużej, trzeba będzie zamknąć konserwatorja!

Tyle Greczaninow.

Od siebie dodajemy, że prawdopodobnie życie samo wskaże rozwiązanie. Pod tym względem Ameryka może służyć za przykład: rozwój orkiestr amatorskich (t. zw. civic orchestras) i towarzystw muzycznych wskazuje nam właściwą drogę.

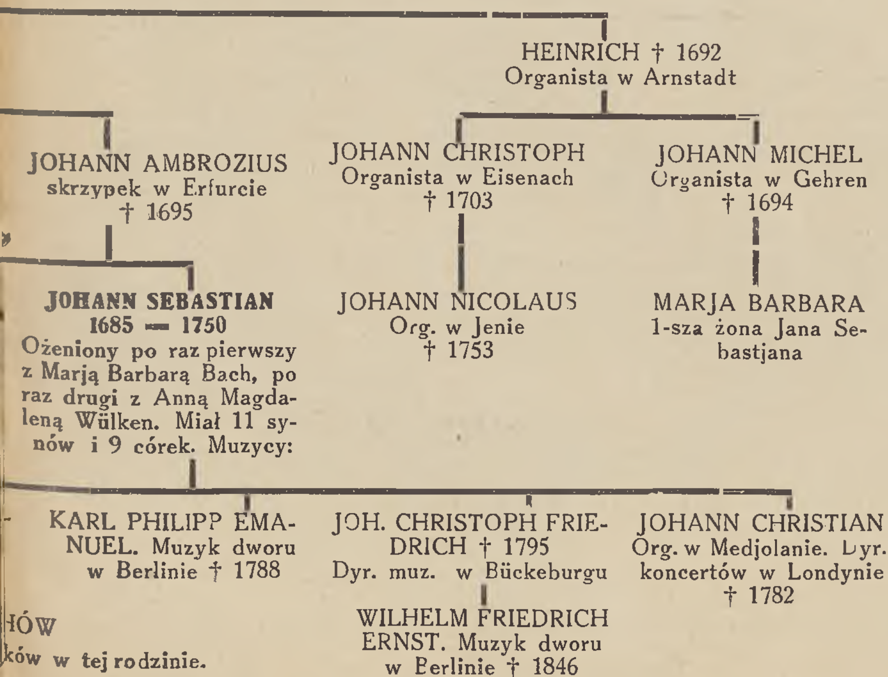
NEW YORK, *w marcu.*

Genealogja Bacha. Zamieszczona w niniejszej kolumnie tablica genealogiczna jest ogromnie pouczająca. Oto jedna z dróg, na której rodzi się genjusz. W Niemczech takich rodzin jest więcej. Mozart, Beethoven. We Francji podobnież. Świadczy to o głębokiej i rozpowszechnionej kulturze muzycznej narodu. Polska nie potrafiłaby się czemś podobnem pochwalić; może z wyjątkiem Gomółki wszystkie talenty i gwiazdy (nie wyłączając Chopina) wyskakiwały w pełnem uzbrojeniu, jak Pallas Atena z głowy Zeusa.

w. r.

RODZINA

marze



WITOLD NOWODWORSKI

NOWY KĄT WIDZENIA

Stosunki polsko-litewskie budzą coraz większe zainteresowanie w całem społeczeństwie polskiem. Nonsens zamkniętej granicy, nonsens polityczny, gospodarczy, kulturalny, domaga się przemyślenia całego zagadnienia litewskiego od podstaw, gruntownie, wszechstronnie. Publicystyka, literatura i nauka zwraca na to zagadnienie coraz żywszą uwagę.

* * *

Historjografja, dotycząca dziejów unji polsko-litewskiej jest bogata. Zagadnieniem tem interesowała się żywo przedwojenna nauka rosyjska: prace uczonych rosyjskich, oparte na materjale źródłowem Metryki Litewskiej, przewyższały pod pewnemi względami (zwłaszcza w dziedzinie dziejów wewnętrznych Wielk. Ks. Lit.) badania uczonych polskich.

Jednym z głównych zadań polskiej nauki historycznej z chwilą odzyskania niepodległości było wyrównanie tych braków. Już w latach 1919—20 ukazuje się świetna synteza dziejów unji jagiellońskiej pióra **Oskara Haleckiego.** Liczne prace historyków: Jakubowskiego, Chodynickiego, Zajączkowskiego, Kolankowskiego, Adamusa posuwają naprzód znajomość tego okresu naszych dziejów. W dziedzinie publikacji wydawnictw źródłowych należy zanotować doniosłą pozycję, a mianowicie wydanie Aktów Unji polsko-litewskiej w opracowaniu Kutrzeby i Semkowicza.

Badania konstrukcyjne uwzględniały przedewszystkiem stronę polityczną zagadnienia unji, pozostawiając na uboczu czynniki społeczno-gospodarcze. Wymownem stwierdzeniem takiego właśnie kierunku w historjografji polskiej o unji był referat prof. **Zakrzewskiego,** wygłoszony na ostatnim Zjeździe historyków polskich w Warszawie w roku 1930, w którym autor wskazywał na rolę czynnika dynastycznego w dojściu do skutku układu krewskiego (polityka Elżbiety Bośniaczki, wdowy po Ludwiku Węgierskim).

Pierwszym badaczem, który podkreślił doniosłość czynnika społeczno-gospodarczego w wyświetleniu genezy unji, jest prof. **Wł. Semkowicz** w rozprawce p. t. *Hanul namiestnik wileński (1382 — 1387) i jego ród.* Stosunki handlowe, łączące Litwę z Rygą z jednej strony, z Zachodem zaś z drugiej miały znaczny wpływ na wynik rokowań Jagiełły z panami małopolskimi. W układach polsko-litewskich wybitny udział miał zaufany Jagiełły, mieszczanin wileński, Hanulon, pochodzący z Rygi. W całej jednak pełni rola czynnika społecznego w budowaniu państwa litewskiego występuje w pracach prof. **H. Łowmiańskiego.** W kapitalnem swem dziele p. t. *Studja nad początkami państwa i społeczeństwa litewskiego* stara się autor odtworzyć pierwotną strukturę społeczną, gospodarczą i wojskową Litwy.

W dalszych badaniach prof. Łowmiański idzie konsekwentnie po raz obranej drodze. Rola czynnika społecznego w dziejach Litwy występuje dobitnie w najnowszej jego pracy p. t. *Uwagi w sprawie podłoża społecznego i gospodarczego unji jagiellońskiej.*

Autor poddaje rewizji panujący w nauce pogląd o bezwzględnie absolutnym charakterze władzy W. Księcia Litewskiego i stwierdza istnienie organu, ograniczającego tę władzę, w postaci rady bojarskiej. Podważa też Łowmiański tezę, jakoby państwo litewskie było wspólną własnością rodu Gedyminowiczów. Poszczególni członkowie rodu, władający dzielnicami, byli reprezentantami społeczeństwa litewskiego, znaczenie polityczne ich zatem wiązało się z rolą polityczną bojarstwa.

Fundamentem, na którym opierało się państwo litewskie, była, zdaniem Łowmiańskiego, organizacja wojskowa. Stosunek bojarstwa litewskiego do wielkiego księcia był stosunkiem osobowym członków drużyny wojskowej względem wodza.

Naczelnicy grodów byli jednocześnie naczelnikami oddziałów. Funkcje tych ostatnich pełnili przeważnie członkowie rodu, gdyż tą drogą osłabiało się dążności separatystyczne poszczególnych dzielnic. Interes bowiem dynastyczny był w pewnym stopniu gwarancją dochowania wierności wobec władzy centralnej w. księcia.

W 6 i 7 dziesięcioleciu XIV wieku Litwa zdobywa się na wielki wysiłek militarny, angażując swe siły na Wschodzie, zmuszona jednocześnie do obrony rdzennych swych ziem przed najazdami Zakonu Krzyżackiego. Walka ta dla państwa litewskiego jest zbyt wyczerpująca. Rezygnacja jednakże z jednej z tych pozycyj stwarza niebezpieczeństwo utraty bytu państwowego. Wyjściem z tego ciężkiego położenia stała się unja z Polską.

Po roku 1385—1386 rozpoczyna się proces przekształcania się monarchji z militarnej, jaką było do tej chwili państwo litewskie, w monarchję stanową. Wielkomocarstwowa polityka Litwy na Wschodzie doznała załamania już w latach, poprzedzających bezpośrednio fakt unji. Teraz polityka ta napotyka ponadto na przeszkody natury wewnętrznej. Konieczność dopuszczenia do współudziału w zyskach wojennych szlachty polskiej obniża wartość wysiłków wojennych w oczach bojarów litewskich, związek zaś ich jako członków drużyny z wodzem, rozluźnia się wskutek tego, że Jagiełło przebywa przeważnie na dworze krakowskim.

Bojarowie szukają więc korzyści własnych na drodze podniesienia dochodów z gospodarki ziemskiej przez uzyskanie zwolnień od pewnych ciężarów, ponoszonych na rzecz w. księcia. Przywilej Jagiełły z r. 1387, nadający bojarom szereg swobód, jest wymownem stwierdzeniem tej ewolucji.

Okres rządów Witolda (1392 — 1430) — to czasy ścierania się dążeń separatystycznych, których wyrazicielem było przedewszystkiem bojarstwo litewskie, z programem polityki wschodniej W. Ks. L. Witold kontynuował tradycję ekspansji litewskiej na ziemie ruskie, hen ku Pskowowi i Nowogrodowi, słabość zaś militarna Litwy zmuszała Witolda do szukania pomocy wojskowej w Polsce, co pociągało za sobą konieczność utrzymania unji. W ciągu pierwszego dziesięciolecia po śmierci Witolda (1430 — 1440) stosunek społeczeństwa litewskiego do unji kształtuje się na tle sprawy równouprawnia politycznego bojarstwa ruskiego. Obrona górującego stanowiska politycznego przed polityką ruską Świdrygiełły skłania panów litewskich do szukania porozumienia z Polską w latach 1432—1434. Kompromis zaś, do jakiego dochodzi w sprawie ruskiej w roku 1434, pociąga za sobą zerwanie unji, czego zewnętrznym wyrazem był wybór Kazimierza Jagiellończyka na w. księcia w roku 1440.

Ostatni okres w dziejach unji (1440 — 1569) rozpatruje Łowmiański na tle przemian natury gospodarczej na Litwie. Zaznaczony przezeń już przedtem proces zmiany psychiki bojarstwa litewskiego rozwija się w dalszym ciągu.

Składają się nań następujące czynniki: 1) powstanie wielkiej własności ziemskiej dzięki działalności donacyjnej Jagiełły, Witolda, a zwłaszcza Zygmunta Kiejstutowicza i Kazimierza Jagiellończyka, 2) skolonizowanie pustkowi z równoczesnem pogorszeniem się położenia ludności wieśniaczej, obciążonej robocizną i rozwojem gospodarstwa folwarcznego, 3) postęp techniki gospodarczej i pomyślne konjunktury handlowe w XV i XVI wieku.

Ten proces wewnętrzny, który przesunął punkt ciężkości zainteresowań politycznych bojarstwa litewskiego ze spraw ekspansji zewnętrznej na kwestję rozszerzenia uprawnień stanowych, był przyczyną słabości wojskowej Litwy. Ujawniło się to w stosunkach z Moskwą, która w końcu XV wieku podjęła program scalania ziem ruskich kosztem W. Ks. W wyniku obniżenia się wartości bojowej żołnierza litewskiego skuteczność obrony wobec ekspansji moskiewskiej stała się możliwa tylko w połączeniu Litwy z Polską. Te czynniki doprowadziły do ostatecznego unormowania stosunku obu krajów w akcie unji lubelskiej w r. 1569.

Niewątpliwie praca prof. Łowmiańskiego nie jest wypowiedzeniem przez naukę ostatniego słowa. Jako zadanie postawił sobie autor rzucenie paru promieni na najważniejsze problemy w rozwoju stosunków wewnętrznych Litwy. Znaczenie rozprawy polega jednakże przedewszystkiem na wytknięciu kierunku przyszłym badaniom historycznym nad unją. Mający się odbyć na początku września r. b. Zjazd historyków polskich w Wilnie, zwołany w 550 rocznicę aktu krewskiego, nie będzie mógł— jak sądzę—przejść do porządku dziennego nad poglądami Łowmiańskiego. Reprezentowany przezeń rewizjonizm jest najbardziej twórczą postawą uczonego wobec zagadnień przeszłości.

*) W kwestji litewskiej patrz PAX: Rok 1934 Nr. 5, 7 — 8 i 9; rok 1935 Nr. 2 i 3.

KORESPONDENCJA

P. Z. Z. K. Goszyce—Dziękujemy. Artykuł będziemy drukowali.
P. S. S. Lwów. — Dziękujemy za przesłane uwagi. Odpowiemy listownie.
P. I. P. Borki. — Niestety, drukować nie możemy.
PROSTUJEMY: w Nr. 5-ym tytuł art. p. K. Westy powinien był brzmieć: EPIKUREIZM i ANARCHIZM INTELEKTUALNY. — Daty życia Franka: 1771 — 1842.

AGA

PARTJE POLITYCZNE WALCZĄ

1.

Każdy z nas, zwykłych śmiertelników, wie dobrze, iż od czasu do czasu zachodzi w naszem życiu publicznem jakiś fakt, który ludność musi przyjąć z radością. Radość ta musi być koniecznie specjalnego gatunku — musi być **spontaniczna**. W tym celu wysyła się odpowiednie instrukcje od władz wyższych do władz niższych, władze niższe, klnąc zcicha, że niby niedziela powinnaby należeć do nich, zabierają się do organizowania spontanicznego odruchu ludności i w tym celu spędzają szkoły, wywierają nacisk na urzędy, zgromadzają ludność, wychodzi pan prezes z przemówieniem, potem się śpiewa co i jak trzeba, potem spontanicznie uchwala się rezolucję, no i ludziska się rozchodzą z głębokiem poczuciem spełnionego w pocie czoła obowiązku spontanicznej radości.

Panowie zaś dziennikarze przygotowują sprawozdania, jak to w całym kraju i tak dalej i temu podobne...

2.

Każdy z nas, zwykłych śmiertelników wie równie dobrze, że na spontaniczną radość przeciwnicy muszą odpowiedzieć **żywiołowem oburzeniem**. Koniecznie — **żywiołowem**. Tu jest trudniej spędzić szkoły i nacisnąć urzędników, ale że sposoby są na wszystko, więc i żywiołowe oburzenie zrobić można. Tutaj też jest pan prezes, czy jeszcze lepiej: pan poseł, jest i przemówienie, śpiewa się co i jak trzeba, uchwala się protestującą rezolucję, lecz przedewszystkiem panowie dziennikarze maczają pióra w kałamarzach i piszą szybko na długich paskach papieru, jak to ze wszystkich stron kraju, jak to wszystkie warstwy narodu, jak to powszechne, niewątpliwe, żywiołowe oburzenie i tak dalej i temu podobne.

3.

Czyż nie wiecie, co to jest **gniew ludu**. Ach! nie o górników chodzi, którzy zamknęli się przed laty pod ziemią w Klimontowie, by nie dopuścić do zalania kopalni, ani o żyrardowskie strzały Blachowskiego; ani o przekleństwa, które szepce rolnik, gdy mu krowę ostatnią komornik wyprowadza z obory; nie o Bałuty, nie o Annopol, nie o Meksyk gdyński chodzi, gdy słyszymy o gniewie ludu. Gniew ludu mieści się przeważnie w całkiem niezgorszych mieszkaniach, ubrany jest w całkiem elegancki kostjum, odżywiony jest stanowczo lepiej niż skąpą porcją zasiłku dla bezrobotnych. „Gniew ludu" jest przeważnie jak „spontaniczna radość" i „żywiołowe oburzenie" posunięciem, taktyką, frazesem dziennikarskim. Prawdziwy „gniew ludu" wygląda inaczej i z reguły pisany jest krwią, nie atramentem.

4.

Wśród tej codziennej „spontaniczności", „gniewów" i „żywiołowości" żyje sobie przysłowiowy szary człowiek. Ten szary człowiek bywa na akademjach, wiecach i pochodach. Dawniej wyciskały mu one łzy z oczu, przyśpieszały bicie serca, barwiły mu gniewem, czy radością policzki. Dziś przestaje wierzyć we wszystko, tak dokoła niego wszystko jest wypiętrzone ponad miarę, wynajnajnajowane. Szary człowiek nie zwykł nazywać świecy — słońcem, chleba — marcepanem, a nóg własnych — windą elektryczną. Szary człowiek kupuje jednego dnia — dajmy na to — Gazetę Warszawską, Gazetę Polską, Robotnika — szary człowiek wie, że ten i ten i ten buja, blaguje, spontanicznie, żywiołowo, gniewem nieba i ziemi. Dawniej szary człowiek reagował, dawniej zżymał się, złościł się i wściekał. Dziś wie, że mówca nim rozpłomieniony wyjdzie na trybunę, ziewa za kulisami; że czerwona chorągiew jest kupiona za pieniądze przywódcy, który pnie się do władzy, a chorąży, niosący symbol gniewu ludu, jest opłacany po złotówce za godzinę; niema w życiu społecznem prawdy, jeno wielkie, napuszone, żywiołowe łgarstwo.

5.

Czyżby ci wszyscy, którzy urządzają spontaniczne uroczystości, którzy bujdy wypisują w gazetach, którzy grube pieniądze wsadzają w te środki „zdobywania mas", ci z jednego, drugiego, trzeciego i dziesiątego obozu, stronnictwa, czy partji — czyżby ci wszyscy cwani politycy nie wiedzieli, jaki skutek wywiera cała ta propagandowa blaga? Nie chcemy w tej chwili krytykować żadnego programu politycznego, żadnego ugrupowania — sądzimy, że każde posiada swoje ziarno prawdy. Uważamy, że moralnym obowiązkiem wszystkich ludzi jest walczyć o zwycięstwo idei, o której wierzą, iż jest słuszna i prawdziwa. Ale jeśli się walczy o prawdę, walczyć trzeba prawdą, nie blagą. Ponieważ wszystkie blagujące stronnictwa — a które z nich dziś nie blaguje? — podkopują zaufanie „mas" wobec siebie samych, kopią dołki — miast pod przeciwnikiem — pod samym sobą i wpadają w nie w oczach owych „mas". Któż przyzna się dziś do własnego błędu, do własnej przegranej, kto przyzna rację politycznemu przeciwnikowi, gdy wnosi słuszny, najsłuszniejszy projekt. Może dobrze jest nawet, że myśl często mącona jest zacietrzewieniem partyjnem, gorzej znacznie, że blagę nieraz uprawia się spokojnie, z rozmysłem, z premedytacją, z cynizmem.

Jakiż skutek — pytamy — odnosi opisana wyżej działalność? Mówiliśmy o demoralizacji społeczeństwa. Lecz jednocześnie następuje odsunięcie się znacznej jego części od prac i obowiązków, dla których właśnie stara się je zdobyć. Następuje zobojętnienie na sprawy publiczne, o których się sądzić zaczyna miarą frazesu, fałszywego ogólnika i t. d. Zaczyna się płynąć po powierzchni życia publicznego, po powierzchni publicznej frazeologji, bajeczki, finfy, wykrzyknika. Poszczególne stronnictwa powoli tracą ludzi, miast ich zyskiwać. I co gorsza nie na rzecz ideowego przeciwnika, który ich przekonał, pociągnął, zdobył, lecz na rzecz bierności i egoizmu — zasugestjonowano im bowiem, że aby być dobrym członkiem stronnictwa, wystarczy krzyczeć głośno i składnie. Oto są skutki walki blagą i kłamstwem. Nad głową gra nam papierowa burza: to huczy żywiołowa spontaniczność i tak dalej i temu podobne.

PIÓREM I SZYDŁEM

Że eksperyment sowiecki budzi zainteresowanie — to jasne. Ale że budzi dużo niezdrowej sensacji — to niemniej jasne. Dziś książka z nazwiskiem sowieckiego pisarza może liczyć na murowane powodzenie. Niekoniecznie dla jej walorów treściowych. Ale modnie jest dziś rozprawiać o literaturze sowieckiej, taki już ton panuje w świecie, jakby powiedziała Kuncewiczowa — taki fason. Arystokracja francuska przed wielką rewolucją zaczytywała się Roussem i encyklopedystami — taki wtedy był fason. (Nie chodzi nam o jakieś klasowe analogje). Krytycyzm zaś w stosunku do rzeczy czytanych bodaj że wtedy i dziś jest jednaki.

Nie będziemy w tem miejscu wyciągali wniosków — taki już jest nasz fason. Kto chce, niech wnioski sam wyciąga.

* * *

Pruderja dawnych panien, jako coś nienaturalnego i sztucznego, mogła być śmieszna i nawet szkodliwa. Przed laty było w dobrym tonie — nie wiedzieć o „niczem". Dziś hm! w dobrym tonie jest wykazać każdemu, że wie się „o wszystkiem". Młode panny potrafią wygadywać bez zmrużenia oka takie rzeczy, że zdają się być specjalistkami od wszelakich zboczeń i t. p. Biedactwo zresztą opowiada często przeraźliwe brednie. Rozmowa z panną tego typu może być z różnych względów bardzo pouczająca. No cóż, nie sądźmy, jej się zdaje, że jest jej z tem do twarzy. To nie zepsucie z niej przemawia tylko — taki już fason.

Turek.

K. ZIELONKA

ATAK NA SNOBA

W akademickiej monotonji i patosie namaszczonych poznańskich czwartków literackich w Pałacu Działyńskich — wieczór prof. L. Chwistka był drugą (po Smykowskim) rakietą, deprymującą „czwartkową elitę". Deprymującą i oburzającą. Czuło się to wyraźnie—szczególnie u oficjalnych, dostojnych reprezentantów „powagi naukowej" i rzeczy, „usystematyzowanych" w formuły, formułki i formułeczki, etykiety i etykietki.

„Złośliwemi" uwagami o „bezładzie tematowym" prelegenta, o „wywalaniu otwartych drzwi" — dostojnicy owi podtrzymywali autorytet „szarganej" przez prof. Chwistka „naukowości". Nieuleczalni ironiści twierdzili, że w kąśliwostkach tych dominowała nuta zazdrości: przyjeżdża sobie taki Chwistek pierwszy raz w życiu do Poznania, mało komu znany wogóle, matematyk, ośmielający się zabierać do najżywszych zagadnień kultury — i z miejsca, paru pierwszemi już zdaniami, zdobywa sobie publiczność — oczywiście tę barankową, nieutytułowaną. Tę samą publiczność, która przecież na ich „czwartkach" tylko wytwornie siedziała, słuchała, lub udawała, że słucha, milczała i... z wyraźnem utęsknieniem spoglądała na zegarki. A teraz się śmieje, przerywa prelegentowi oklaskami i wyraźnie żałuje, że Chwistek już skończył mówić.

Inna rzecz, że ta publiczność była często tego wieczoru w nielada kłopocie. Bo i jakże: — pierwsza część zdania, np., wprawiała ją w klaskający zachwyt, a druga wyglądała przecież na kpiny i drwiny z słuchaczy. Oburzyć się więc? Raczej śmiać się — zejść z koturnów — plunąć raz na snobistyczne małpowanie reakcji profesorskich „autorytetów".

Nie jesteśmy przyzwyczajeni do dobrego persyflażu. Deprymowano się zatem, ale i radośnie oddychano w swobodnej, prostej, zrozumiałej atmosferze słów tego „szalenie sympatycznego" (było dużo pań), starszego pana, prof. L. Chwistka.

Obawa o przyszłość kultury polskiej każe prof. Chwistkowi obecny stan tej kultury atakować bardzo surowo. Nowej kulturze naszej brak rozmachu i oryginalności. Nie tworzymy rzeczy śmiałych i nowych. Stale panoszy się u nas najgorszego rodzaju snobizm. Stale myśli się tylko o dociąganiu do obcych wzorów. Nurtuje w słowach prof. Chwistka szlachetna pasja nowości, tej nowości, która się rodzi z samodzielnego myślenia i wydobycia własnego wyrazu. Denerwuje owe mniemanie o własnej niemocy. To tragiczne wleczenie się na tyłach postępu kulturalnego innych — z ową koszmarną dumą wielkiego, pono, profesora krakowskiego, który—jak przytacza Chwistek—z najświętszem przekonaniem o „wielkości" spełnianego zadania, chełpił się, że cała jego „wieloletnia działalność była postępem za rozwojem myśli zachodnio-europejskiej".

A przecież o czemże mówi choćby przykład matematyki polskiej, która, nie posiadając tradycji, począwszy kiełkować dopiero w końcu XIX w., dała nam szereg potężnych indywidualności w tej nauce i kilka nazwisk o światowej sławie. To samo możliwe jest i w każdej innej dziedzinie.

Chwistek walczy z bezkrytycznym kultem tradycyjnych przesądów, wywierających bardzo silny wpływ na poglądy naszego społeczeństwa. Kult ten pozwala na „panoszenie się różnych doktryn irracjonalnych, podstawiających na miejsce ścisłego myślenia, zdrowego rozsądku i rozumu chłopskiego — nieodpowiedzialne metafizyczne męty, ustrojone w piórka wiedzy tajemniczej".

Są ludzie, którzy każdą sprawę potrafią zaciemnić i zabagnić, nawet wtedy, kiedy głównym ich celem jest wyświetlenie prawdy. Ojczyzną takich ludzi są niemieckie seminarja filozoficzne. Szkodliwy wpływ owych ludzi na kulturę duchową został w ostatnich czasach stwierdzony ponad wszelką wątpliwość. Ludzi takich nie brak i u nas. Z tymi to ludźmi uparcie walczy prof. L. Chwistek.

Odczyt prof. Chwistka, nieopracowany według zgóry powziętego planu, miał dość luźną strukturę i bardzo różnorodną treść. Ta różnorodność treści była jednak bogactwem odczytu, frapowała słuchaczy. Trudno byłoby dać obraz poruszonych kwestyj. Co chwila bowiem jakaś aluzja, myśl uboczna, lub coś nakształt aforyzmu potrącało o problemat, jakby mimochodem spostrzeżony, ale owo potrącenie było zawsze tak dobitne i pełne światła, że niejednokrotnie samo w sobie stanowiło interesujące odkrycie.

Zdumiewało radośnie, że prof. Chwistek nigdy nie wykroczył z granic języka potocznego, nawet w zagadnieniach filozoficznych, t. j. tam, gdzie nasze zwyczajne słowa są wzgardzone i prześladowane. Sprawy, które w innych ustach pławiłyby się w obfitości wywodów, Chwistek wyraża jednem zdaniem. Jest to wynikiem jasnego sposobu myślenia i umiejętności, polegającej na tem, by myśli podsunąć kształt najprostszy i najbardziej dokładny.

Jeśli zaś tak budowane myśli otoczyły jeszcze barwne freski doskonałego, Chwistkowego humoru, to nic dziwnego, że publiczność, mimo iż jej się niemało od prelegenta oberwało, szczerze się entuzjazmowała.

Być może, że teror, jaki wywierają augurowie naszej nauki, znudził się już w końcu. Być może, że ludziom uprzykrzyło się ciągle słuchać o jakichś głębiach, które są niedostępne ich rozumowi. Byli wdzięczni, że znalazł się wybitny naukowiec, który nie wynosił się nad nich, nie chciał być niczem więcej niż oni, a wyszydzał w sposób dowcipny i naprawdę mądry właśnie tych samozwańczych magów, którzy nie umieli im dać nic, prócz lekceważenia.

Słuchając przemawiającego prof. Chwistka, trudno było nie wyobrazić sobie właśnie tak samo mówiącego Chestertona. Tego Chestertona, który rzucił ową pyszną myśl, kryjącą się za wywodami polskiego genjalnego matematyka i ciekawego malarza (prof. Chwistek jest twórcą malarstwa sferycznego), że „jeśli człowiek nie jest w części humorystą, jest tylko w części człowiekiem".

Takiego jednak postponowania zagadnień naukowych nie mogły prof. Chwistkowi darować pewne „powagi" i „autorytety". Doskonałe przyjęcie prelekcji próbowano osłabić zarzutami, że Chwistek mówił nie na temat (zapowiedziany tytuł odczytu brzmiał: „twórcza rola krytycyzmu"), że odkrywał rzeczy dawno odkryte, że mówił o rzeczach wszystkim wiadomych, że mówił banały.

Najbardziej, podobno, zaskoczona odczytem i oburzona była kategorja owych zawodowych dyskutantów, przygotowujących się do dyskusji na zadany temat — stracili, biedacy, okazję wygłoszenia tasiemcowych myślowych koturnów.

Czy zaś głosić rzeczy wszystkim wiadome było banałem? Niewątpliwie — ale istnieją chwile, w których niejeden stary banał staje się nową i trudną prawdą. Takie właśnie prawdy odkrywa Chwistek.

* * *

Sądzę, że, stając wraz z prof. Chwistkiem na podobnych pozycjach upartej walki z zakłamaniem i snobizmem naszego życia, z zainteresowaniem śledzić będziemy jego odważne poczynania. Bowiem—mimo, że reprezentujemy światopogląd katolicki i wiele założeń Chwistkowej filozofji musimy potępić—zawsze uznamy w nim szczerego i gorącego, choć fałszywie wytkniętemi drogami chodzącego, szermierza prawdy

SKRÓTOMANJA

W 6-tym n-rze „Paxu" oglądaliśmy artykuł p. Jana Rutskiego o eksperymentach ekonomicznych Roosevelta. Tenor artykułu brzmiał mniej więcej w ten sposób, iż Ameryka czyni próby zetatyzowania produkcji i t. p. Warto przytem nadmienić o pewnem zabawnem, ale niezwykle charakterystycznem zjawisku, towarzyszącem każdemu etatyzmowi. Oto wskutek stwarzania niezliczonej ilości urzędów, biur i komitetów powstaje trudność z zapamiętywaniem nazw tych instytucyj, czemu towarzyszy skracanie tych tytułów. Znamy takie Z.S.S.R., R.S.F.S.R., W.C. I.K., Narkomindieł, GPU i t. p. Stany Zjednoczone nie pozostały wtyle. Ze skrótów nazw ich urzędów można stworzyć niezgorszy słowniczek. Oto mała kolekcja:

NRA — National Recovery Administration.
NIRA — Nat. Industrial Recovery Act.
AAA — Agricultural Adjustment Administration.
CWA — Civil Works Administration.
NEC — Nat. Emergency Council.
PWA — Public Works Administration.

Nie będziemy nużyli czytelników całym kalendarzem. Przytoczymy bez rozwijania najważniejsze skróty: CAB, CC, CCC i CCC, CSB, ECPC, EHFA, FACA, FCA, FCT, FDIC, FERA, FHLBB, FSRC, GSC, HOLC, JAB, JBRT, ITPC, LAB, NCB, NIRB, NLB, NPB, PWEHC, SAB, SBPW, SRB, TCFT, TVA. — Niezła kolekcyjka co?

Skrótomanja zaczyna ogarniać również Polskę. Kto życzy, niech sobie sam poszuka przykładów, o które nie trudno. Być może, iż skróty takie są czasem wygodne. Ale czyż nie znaleźlibyśmy nazw równie krótkich jak CIWF czy BGK, i łatwiejszych do zapamiętania, i piękniejszych, bardziej żywych: przecież od tego zbioru nazw amerykańskich wieje jakimś trupim zaduchem—brak w nich duszy. *w. r.*

ANTONI GOŁUBIEW

6)

Mędrcy na arenie

6. Rozprawa o kobiecie

Dramatyczne przejścia dni ostatnich wywołały znaczne zmiany w usposobieniu pana Kłapoucha. Jego powaga, znamionująca mędrca, nagle ustąpiła miejsca pustocie. Przeróżne wybryki pupila napełniały rozpaczą dyrektora Nazajutrz po sprawie pojedynkowej pan Kłapouch poobgryzał wszystkie rośliny w doniczkach, wybiegł na ulicę bez krawatki, próbował nawet podśpiewywać, co napełniało cały gmach odgłosami podobnemi do rżenia. Po tej ostatniej ekstrawagancji dyrektor dał mu ostrą burę:

— Przyjacielu, zastanów się. Aczkolwiek cenię głębię twej mądrości, nie uważam cię za genjusza wszechstronnego. Konstatuję naprzykład, że nie masz wielkich zdolności muzycznych. Czy możesz dorównać Kiepurze?

Pan Kłapouch lekkomyślnie skinął głową.

— Kiepurze?! — krzyknął oburzony dyrektor — nikt nie dorówna Kiepurze. Kiepura to chodzący talent, czy zdajesz sobie sprawę, czem jest chodzący talent? Wszystkie kobiety kochają się w nim na zabój.

Pan Kłapouch stanął we wdzięcznej postawie, jakby twierdząc, że i w nim mogą się kochać wszystkie kobiety.

— Wszystkie kobiety! — zawołał dyrektor ze zdumieniem.

Patrzył przez chwilę na piękną postać pana Kłapoucha Po chwili przemówił:

— Kto wie zresztą, kto wie. Przecież i ty jesteś mędrcem, a każdy mędrzec — to chodzący talent. Hm!

I pan dyrektor zamyślił się głęboko.

— Kto wie, kto wie — powtórzył raz jeszcze, kończąc po chwili głębokie zamyślenie.

Niezwykłem zrządzeniem losu tego samego dnia popołudniu, rozwinąwszy gazetę, przeczytał następujące ogłoszenie:

HALLO! HALLO! HALLO!
WIELKI TURNIEJ PIĘKNOŚCI MĘSKIEJ
WYBÓR NAJPIĘKNIEJSZEGO MŁODZIANA
— dziś o godzinie 8 wieczorem —
— w Wielkiej Sali Miejskiej —
GŁOSUJĄ WSZYSTKIE PIĘKNE KOBIETY

Dyrektor stracił oddech ze wzruszenia. Nie tracąc czasu, wysłał boya klubowego, każąc mu zapisać na listę zawodników pana Kłapoucha. Potem przez pięć minut starał się uspokoić bijące ze wzruszenia serce (trzepocące się jak ptak, biedne serce dyrektora), wachlował się chusteczką do nosa i do kieszonki, wreszcie przybrawszy uroczystą minę, poszedł do swego pupila.

Pan Kłopouch przyglądał się uważnie pięknemu pejzażowi, przedstawiającemu wspaniałe krzaki ostów (Cézanne czy Van Gogh). Zachwyconemu ciekła z ust ślinka. Przekrzywiwszy na bok głowę i zwiesiwszy bezwładnie uszy, okiem znawcy oceniał subtelną zieleń kolczastych liści, żywy fiolet kwiatów.

— Świetnie namalowane — przytaknął mu dyrektor czuć w tem istotnie rękę mistrza. Ale teraz pomówmy o czem innem, o sprawach bardziej życiowych.

Z głębokiem westchnieniem oderwał się pan Kłapouch od kontemplacji pięknego obrazu. Zwróciwszy oczy na swego mistrza, spoważniał, spojrzał swem dawnem, głęboko zadumanem wejrzeniem. Ale dyrektor tym razem był mniej z tego zadowolony.

— Przyjacielu kochany, pamiętaj o tem, że nietylko myśl głęboka rządzi światem. Piękno ciała, wdzięczna postawa też ma swoje znaczenie. A uśmiech! — uśmiech winien opromieniać smutne nasze życie.

Dyrektor stał przez dłuższą chwilę, jakby łowił uchem echo swych słów. Potem zaczął tonem zdecydowanym:

— A teraz, przyjacielu, dowiedz się, że stajesz dziś wieczorem do konkursu piękności. Wyboru dokonają kobiety. Masz robić swoją osobą wygląd niezmiernie dodatni, bardzo miły. Jeszcze ważniejsze jest, żeby wyborczynie odrazu zdawały sobie sprawę, iż mają do czynienia z człowiekiem o wysokiej inteligencji. Musisz więc ubrać się bardzo starannie. I nie powinieneś być nazbyt ponury, odwrotnie zachowuj się ze swobodnym wdziękiem. Od czasu do czasu uśmiechaj się smutnie, to robi kapitalne wrażenie. Zwłaszcza na kobietach.

Pan Kłapouch drżał lekko, lecz dyrektor tego nie widział. Mówił dalej:

— Musisz wczuć się w psychikę kobiety. Psychiki kobiety nie można zrozumieć, kobieta jest jak Sfinks. Sfinks — to pół człowieka, pół lwa, mieszka niedaleko Piramid, jest z kamienia i nic nie myśli.

Teraz pan Kłapouch wzdrygnął się całkiem wyraźnie.

— Nie tremuj się przyjacielu, wszystko będzie dobrze. Pamiętaj tylko: wdzięk i dystynkcja — tem bierze się większość kobiet; inne bierze się bezczelnością. Zresztą to są detale. Grunt to inteligencja, o której mówiłem na początku. Będziesz miał dużo rywalów. Zwycięstwo wcale nie będzie łatwe, ale tem większa będzie potem chwała. Pomyśl tylko— całe miasto, cały świat wie, że jesteś najpiękniejszym mężczyzną. Gdy przechodzisz ulicą, sypią się na ciebie kwiaty— wszak ty kochasz piękno, prawda? kochasz kwiaty?

Pan Kłapouch kiwnął głową i tęsknie spojrzał na obraz z ostami.

—Kochasz—uradował się dyrektor—nie zawiodłem się na tobie. Tylko niska dusza nie kocha kwiatów. To też, gdy będziesz szedł na konkurs, myśl o kwiatach. Tysiące, tysiące kwiatów. Zważ, co za triumf dla ciebie: otrzymać nagrodę kwiecistą z tysiącznych rąk kwietnych. Bo kobiety podobne są do kwiatów, słowo honoru: po pierwsze są delikatne jak gałęzie mimozy, po drugie są barwne, po trzecie pachną kwieciem. Poza tą delikatnością, poza barwnym strojem, poza zapachem perfum, cóż jest w kobiecie? Wyjdź na ulicę i spójrz: ach, przyjacielu, mimo, że niczego więcej w nich niema, jest w nich wszystko. Kobieta może nas uszlachetnić, doprowadzić do ideału (i dlatego zapisałem cię na ten konkurs), kobieta może nas natchnąć. Iluż mężów mówiło, dowodziło, działało pod natchnieniem kobiety, pomyśl tylko: chociażby Sokrates. CHOCIAŻBY SOKRATES! I pomyśl, jeżeli zwyciężysz w konkursie i o tobie będzie można skromnie powiedzieć: Chociażby Kłapouch: Ty będziesz Sokratesem, a ja zostanę twoim Platonem. A gdy wypijesz cykutę...

Pan Kłapouch przeraźliwie zaryczał.

—Ależ nie, nie, nie bój się—uspokajał go dyrektor— ja mówiłem symbolicznie. Zupełnie symbolicznie. Szkodaby ciebie było, gdybyś zginął jak Sokrates. Oo, bo ty jesteś większy, czem był Sokrates wobec ciebie. Wystarczy spojrzeć na jego portret. Ta gęba miałaby przewyższyć ciebie? Nigdy.

Pan dyrektor wstał i zwrócił się do skrzywionego Kłapoucha:

—Widzę, że mimo wszystko, co powiedziałem, patrzysz na kobietę z pogardą. Nie zaprzeczaj, widzę to doskonale— poznaję to z twej miny. — I nawet cię rozumiem: jesteś mędrcem. Mimo to jednak dziś masz być czarujący, pamiętaj: dystynkcja i smutny uśmiech. No, czas się ubierać.

Pan Kłapouch machnął zrezygnowany uszyma i powlókł się za mentorem.

Redaktor naczelny: ANTONI GOŁUBIEW. Redaktor odpowiedzialny: WITOLD RUDZIŃSKI.
Wydawca: WACŁAW TARASIEWICZ. Administrator: ALFONS KACZYŃSKI.

PAX — DWUTYGODNIK

WARUNKI PRENUMERATY:

Rocznie	bez przesyłki 3,90 zł.;	z przesyłką 4,80 zł.;	zagranicą 7,40 zł.;	w Ameryce 2,80 dol.
półrocznie	„ „ 2,10 „	„ „ 2,50 „	„ 3,90 „	„ „ 1,50 „
kwartalnie	„ „ 1,20 „	„ „ 1,40 „	„ 2,40 „	„ „ 0,90 „

UWAGA: Prenumeratę najwygodniej jest opłacać przy pomocy t. zw. przekazów rozrachunkowych (błękitnych).

OGŁOSZENIA:

Okładka: cała strona — 250 zł.; 1/2 strony — 140 zł.; 1/4 strony — 75 zł.; 1/8 strony — 40 zł.
Wewnątrz: cała strona — 150 zł.; 1/2 strony — 75 zł.; 1/4 strony — 38 zł.; 1/8 strony — 20 zł.

Redakcja czynna: wtorki, czwartki i soboty od godziny 7-ej do godziny 9-ej wieczorem.
Wzastępstwie redaktora naczelnego przyjmuje we wtorki od godziny 8-ej do 9-ej wieczorem CZESŁAW ZGORZELSKI.
Administracja czynna codziennie od godziny 6 do 8 wieczorem.

Redakcja i Administracja: Wilno, Metropolitalna 3-8. Konto P.K.O. 144-229

T-wo Wydawnicze „POGOŃ“, Drukarnia „PAX“, ul. Ignacego 5, tel. 8-93.

